№ 22. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.
Warszawa, dnia 18 Maja (30 Maja) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

WIDZIADŁO.

Ach! com ja widział w dolinie
Przy młynie,
Gdzie rośnie drżąca wiklina...

Zaledwie upadł cień szary
Na jary,
Przybyła z chłopcem dziewczyna.

Gdy przyszedł do niej — zadrżała
Jak biała
Topola, co drży listkami —

Gdy wpół ją objął — tu pusta
Swe usta
Złączyła z jego ustami.

I długo razem wśród fali
Mgieł stali
Nad cichym brzegiem jeziora —

Słyszało echo tysiące
Na łące
Całunków tego wieczora.

Coś szeptał chłopiec, a ona,
Spłoniona,
Drżała jak listek osiny —

Młode jej usta mówiły:
„Mój miły —
Ty jeden tylko — jedyny!"

I on jej klął się nawzajem,
Że rajem
Ten uścisk ramion kochanych.

Że jak ten potok doliną,
Popłyną
Do krain we snach widzianych.

Złotą nić snuli!... W lat wiele
W kościele
Za żonę mąż ją wziął stary —

Uprzedzić chłopiec się nie dał,
Bo sprzedał
Serce za bite talary.

Dzisiaj — gdy widzę ich dwoje
Jak swoje
Dni pędzą w dumań godzinie,

Myślę: czy czasem nie padło
Widziadło
Na mnie — w tej cichej dolinie?

Kazimierz Gliński.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

V.

W szpitalu zabawili całą godzinę. Znano ich tu dobrze i szczególniej Konrada powitano z prawdziwą radością.

Siostra Elżbieta, dyżurną oddziału suchotniczego, spotkawszy go w korytarzu, poczęła z nim gawędzić, tytułując go doktorem, przeciw czemu on protestował żartobliwie, mówiąc że na to jeszcze zawcześnie.

— Dopiero za dwa lub trzy miesiące, łaskawa Siostro dobrodziejko! — dodał. — Gdybym wcześniej umarł, nawet na karcie pogrzebowej musianoby mi odmówić tego tytułu, co zresztą byłoby mi już wówczas zupełnie wszystko jedno.

— Ach, jak widać z tych słów, że pan do życia przywiązany. Dobrze panu na świecie!

— A pani źleby być miało? — zauważył pan Konrad.

Siostra Elżbieta wzruszyła zlekka ramionami i odparła prawie bez wahania:

— Cóż znowu! Dziewiętnasty rok jestem już w zakonie i zestarzałam się na tym chlebie. Chcę też sama żyć jeszcze długo. Mimo to, napatrzę się tu codzień tyle nędzy, mam ciągle przed oczyma takie wymowne przykłady znikomości wszelkich rachub ludzkich, że aż dziw mnie bierze czasami, gdy widzę, jak u pana, taką ochotę do życia. Pan powinien zajść wysoko, doktorze, albo ja nie znam się na ludziach.

Naraz, jakby sobie coś przypominając, dodała:

— Ale cóż pana tu dziś sprowadza?

Na te słowa nadszedł właśnie Wiktor, który zatrzymał się nadole, w pogawędce z jednym z młodszych lekarzy, obchodzących o tej porze swoje rewiry.

Pan Konrad wskazał przyjaciela i odparł poważniej, zmieniając najzupełniej swobodny ton dotychczasowy:

— Przyszedłem z kolegą Zawadzkim, aby odwiedzić jego siostrę, która tu jest już od miesiąca podobno.

Siostra Elżbieta rozpromieniła powiędłą twarz i przybrała ją w serdeczny uśmiech.

— Zawadzka? Józia? Cóż to za dobre dziecko! — zawołała z zachwytem, zwracając się do obu naraz młodych ludzi i składając ręce z uwielbieniem. — Toż to anioł Boży! Tylko temu skrzydeł brakuje!

— Co jej jest? Prędko ją myślicie wypuścić? — spytał pan Konrad, podczas gdy Wiktor milczał uparcie, patrząc chmurno w koniec długiego korytarza, gdzie migotała lampka przed rozpiętą na krzyżu figurą Chrystusa.

— Bóg to wie! — odparła siostra Elżbieta. — Ale bodaj że wy... to jest, oni... lekarze... mylą się tym razem... Ach, daj to Boże! — dodała z westchnieniem.

— Jakto?

Zakonnica rozłożyła ręce.

— Cóż ja mogę wiedzieć? Ale to widzę, że dziewczę sił tylko niema za grosz! Dręczy się czemś, ot i wszystko!... Takie to pokorne, dobre, usłużne a pracowite i cierpliwe, jakby nie z tego świata. Czy pan wie, że ona tu nie chce siedzieć próżno? Ot, musiałyśmy dać jej do roboty swoje suknie i habity, aby tylko ją zadowolnić. Siedm habitów już nam skrajała. Całą szwalnię tu zorganizowała.

— Wstaje więc, chodzi?

Siostra Elżbieta zawahała się z odpowiedzią. Wiktor, który udawał, że nie słucha tego wszystkiego, nadstawił uszy.

— Tej nocy, widzi pan, źle spała. Mówiła mi o tem siostra Genowefa, bo ja miałam tę noc wolną. Gorączkowała nawet trochę i majaczyła długo. Ale to nic! Poszłam dziś rano do niej, uspokoiłam ją i ułożyłam w łóżku, nakazując spać, spać koniecznie, dla zdrowia. Śpi też teraz! — dodała ciszej, jakby tu, z korytarza, przez trzy inne sale, obawiała się śpiącą obudzić.

— Tośmy źle się wybrali — zauważył Konrad.

Siostra pomyślała chwilkę.

— To nic! I tak lekarz pewnieby ją zbudził przy rannej wizycie. Przytem ona ciągle mówi o... o panu — dodała, zwracając się do Wiktora. — Brat, brat! z ust jej nie schodzi. Wczoraj nawet pisała do pana list, ale podarła go i nie chciała mi pokazać... Chodźcie, to ją uraduje!

I ruszyła przodem, ale po przejściu jednej z sal zatrzymała się znowu.

— Pójdę pierwsza... uprzedzę ją... dobrze? — spytała.

Konrad skinął głową i zatrzymał się wraz z przyjacielem w przechodniej sali, zastawionej łóżkami. Żaden z nich nie mógł się zdobyć na jakieś słowo. Konrad począł wyglądać oknem na obszerny dziedziniec, po którym, w słońcu, snuli się rekonwalescenci, Wiktor zaś mierzył salę cichemi krokami, spoglądając zpod oka na dwie, znajdujące się na łóżkach, pacyentki.

Nie czekali długo.

Siostra Elżbieta, jak się okazało, nie potrzebowała budzić chorej, która już nie spała.

Przybiegła też niebawem, mówiąc:

— Chodźcie...

Ale przed drzwiami ostatniej sali zatrzymała ich znów, szepcząc z uśmiechem:

— Ona się tam przyczesuje... Chciała wstać i ubrać się... nie pozwoliłam. Uradowała się bardzo. Wie że brat przychodzi i pan — dodała, zwracając się do Konrada. — Domyśliła się tego sama, odrazu!

I przeczekawszy jeszcze chwilkę z ręką na klamce, otworzyła drzwi, wchodząc pierwsza.

— Można? — spytała, wsuwając głowę.

Odpowiedzi nie było słychać. Widocznie zastąpiło ją skinienie głowy, bo siostra Elżbieta weszła, zapraszając obu młodych ludzi.

Był to niewielki pokoik, ostatni w tej części gmachu i najwygodniejszy, nikt bowiem nie potrzebował przezeń przechodzić. Stały w nim tylko dwa łóżka; na jednem z nich spoczywała wychudła i starsza już kobiecina, mająca około czterdziestki; drugie zajmowała właśnie Józia, przykryta w tej chwili kołdrą po samę brodę, ale wysoko ułożona na poduszkach i rozpromieniona radosnym uśmiechem.

Konrad podbiegł pierwszy i uścisnął w milczeniu rączkę dziewczęcia. Wiktor, stając w głowach łóżka, nachylił się równocześnie i musnął wargami twarz siostry. Wtedy to rączka dziewczyny wysunęła się z dłoni Konrada, a zaplotła w serdecznym uścisku na szyi brata.

— No! dość! Józka! Daj pokój! — mówił Wiktor, usiłując uwolnić szyję swoję od jej rącząt.

Ale ona trzymała go silnie przy sobie i całowała ciągle głośno, po ustach i czole.

— No, moja droga! — rzekł jeszcze, zanim go uwolniła.

Siostra Elżbieta, pragnąc utaić łzy, cisnące się jej na ten widok do oczu, poczęła dźwigać krzesełko zpod przeciwległej ściany. Konrad, uważny zawsze, wyręczył ją jednak natychmiast, sam je sobie przystawiając do łóżka chorej.

Wiktor usiadł na krawędzi.

— A mówiłam dobrodziejce, żem to przeczuwała! — odezwała się Józia do siostry Elżbiety. — Mówiłam!... Dlatego to spać nie mogłam tej nocy, dlatego!

Zakonnica otarła ukradkiem łzy z oczu.

— Zostańcie! — rzekła. — Ja muszę iść do apteki... Wrócę niedługo.

I wyszła cichutko, dotykając zaledwie podłogi swemi miękkiemi trzewikami bez obcasów.

Pokoik zaległa grobowa cisza.

Chora, zmęczona wzruszeniem i wysiłkiem, oddychała z trudnością, ale czarne jej oczy, podobne do oczu Wiktora, błyszczały ogniem w tej chwili, a uśmiech nie schodził z jej pobladłych warg.

Niewiele się zmieniła, odkąd jej Konrad nie widział. Ta sama twarz, szczupła, delikatna, a pełna niezmiernej słodyczy, ten sam nosek zgrabniutki, jakby utoczony, to samo czoło jasne, dziecięce, ten sam wreszcie na śniadej cerze rumieniec, tylko teraz trochę jaskrawiej od białej poduszki odbijający. Choroba zrobiła swoje, obezwładniła ją, to prawda, zabrała nawet połowę dawnej, hożej Józi, najmniej jednak dotknęła jej twarzy.

Po wyjściu siostry Elżbiety, chwilę jeszcze panowało milczenie. Nikt nie mógł się zdobyć na pierwsze słowo.

Józi zdawało się, że brata i Konrada krępuje obecność owej kobiecinki, spoczywającej na łóżku pod przeciwległą ścianą i patrzącej na gości młodej sąsiadki z jakąś zazdrością, szeroko, nadmiarę roztwartemi oczyma.

W tem przekonaniu odezwała się też do Konrada:

— Głucha, biedaczka. Mało co słyszy.

Poczem, uśmiechając się przyjaźnie do swej towarzyszki, wskazała paluszkiem na siebie i na Wiktora, a następnie na Wiktora i Konrada, powtarzając ten ruch kilkakrotnie, jakby chciała ciekawej widocznie kobiecinie powiedzieć na migi: „to mój brat, to zaś jego przyjaciel.” I została snać zrozumianą, bo głucha suchotnica odśmiechnęła się do niej, kiwając głową na znak, że pojęła.

— Brat... przyjaciel... wiem! — wyszeptała nawet, nie ruszając głowy od poduszki.

Konrada do reszty to wzruszyło.

— Aj, panno Józefo! — odezwał się ze łzą w głosie. — Pani tu, widzę, nauczyła się przez ten czas nawet mowy głuchych.

— Co było robić? Ona nie wstaje i ja czasem leżę... a już trzy tygodnie jesteśmy razem...

Poczem, z właściwą chorym niecierpliwością, zwróciła się do Konrada:

— Gdzie pan był? Kiedy pan wrócił? — spytała.

Z ust Konrada posypał się teraz szereg urywanych, ale wyczerpujących odpowiedzi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYCHOWANIE.

V.

Kary i nagrody.

Gdyby wychowawcom i wychowawczyniom zabroniono karania i nagradzania swoich wychowańców, sprawiłoby im to wielki kłopot. Rzecz to pewna. Nie chodziłoby tu wprawdzie tyle o nagrodę, ile o karę. Bez niej, zdaniem większości, wychowywać niepodobna.

Dziś mniemanie to podzielają przedewszystkiem pedagogowie niemieccy, którzy obecnie nawet wiodą z małą liczbą opozycyonistów spór, czy bez kary fizycznej można się obejść lub nie, a wiodą go niepomni na słowa wielkich pedagogów, którym ludzkość pomniki wzniosła, a którzy twierdzili, że sztuka wychowania, popierana rózgą, staje się prędzej lub później „orężem złości, mieczem w ręku szalonych,” którym zabiją dobre skłonności w duszy wychowańców.

Ale prócz kar fizycznych są moralne, a przeciw karze moralnej, udzielonej bądź w formie nagany, wymówki, pogróżki, bądź też w inny jaki sposób, chyba największy z pedagogów nic do zarzucenia nie ma?

Tak, ale zaleci przezorność, umiejętność i wielką łagodność w wymierzaniu jej, gdyż w przeciwnym razie albo większe szkody niż fizyczna sprawić mo

że, albo pozostanie bez najmniejszego dodatniego wpływu.

Przedewszystkiem zaś zalecić słowami Komeńskiego, ażeby wychywawca lub wychowawczyni brali przykład ze słońca, „które temu co rośnie zawsze udziela światła,” ze słońca, które ma za cel budzić każdą roślinkę, ogrzać dobroczynnem ciepłem każde stworzenie, powołać do życia wszystko, co do życia powołanem być może. Wychowawca ztąd wzór biorący o karach zapomni, za niepotrzebne je uzna. Dziecko ujęte jego dobrocią, zasłuchane w jego słowa, mające na każdym kroku gotowe do naśladowania wzory, nie zboczy z drogi, którą mu jego kierownik wskazuje.

— A więc kary są niepotrzebne w wychowaniu? A wszakże szkoła macierzyńska czy publiczna bez karności, to jak młyn wodny bez wody — powiedział jeden z wielkich pedagogów.

Tak, ale mówiąc to, nie miał wcale na myśli kary fizycznej lub moralnej, lecz umiejętność postępowania nauczających z uczącymi się, a to w takiej mierze, ażeby przy jej pomocy ci ostatni stali się prawdziwymi uczniami.

— Ależ kiedy dzieci są to istoty niekiedy tak naprzykrzone, tak złośliwe, takie nieznośne, że bez ukarania ich...

— Obejść się nie może. Prawda, ale w takim razie nie na nich ciąży wina przestępstwa, lecz na wychowawcy i otoczeniu.

Dziecko, biorąc na ogół, to młoda roślina, która pragnie żyć i wszystkie swe siły czerpie z gruntu, na którym wzrosła, z promieni słońca, które ją ogrzewa, z powietrza którem oddycha.

Gdy żyzny grunt, odżywcze słońca promienie, czyste powietrze i roślina wyrasta silna, pełna liści i kwiecia. Te prawa świata fizycznego możemy zastosować i do świata duchowego. Czem wychowawca i otoczenie jest względem dziecka, jaki i w jaki sposób podaje mu pokarm duchowy, takim też i w taki sposób żywi się i kształtuje dusza dziecka.

Jeżeli zdradza jakie wady z pewnością wychowawca błąd jakiś popełnił, z pewnością w otoczeniu znalazło ono warunki, które do rozwinięcia się owej wady sprzyjały. Tak jest, biorąc ogólnie, gdyż do dzieci z brakami umysłowemi i fizycznemi stosować się to nie może.

Nic łatwiejszego, jak przesadzić w wymierzeniu kary moralnej, gdyż o fizycznej mowy tu niema, ponieważ najlepiej jest nie używać jej nigdy.

Przedewszystkiem zaś mamy tu na myśli moralizowanie, częste zakazy, przestrzegania, nagany i surowe słowa, w uniesieniu wypowiedziane. Jeśli prócz tego zważymy, że słów tych nietylko winowajca, ale i dzieci, które nic nie przewiniły, słuchają, to jakże łatwo w ich oczach ten, kto ich udziela, wyjść może na człowieka gniewliwego, popędliwego i niesprawiedliwego. To też za zasadę mieć należy wymierzanie wszelkich tego rodzaju kar bez gniewu, bez uniesienia, bo jakżeż to nieskończenie wszystko inaczej wygląda, gdy patrzymy oczyma gniewu, uniesienia lub pasyi, a jakże inaczej, gdy patrzymy oczyma spokoju i rozwagi. Nie gniew wówczas powinien tryskać z oczu wychowawcy, lecz smutek prawdziwy, gorące uczucie gotowości przyjścia w pomoc błądzącemu, szczere pragnienie jego dobra. Wymówka wtedy, choćby w najłagodniejszy sposób uczyniona, napełni przestępcę żalem.

Gdy wychowawca żal ten ujrzy, niech go nie powiększa, ale w serdecznych słowach przebaczy winnemu, a do dobrego zachęci go z pewnością. Pamiętajmy bowiem, że zapomocą gniewu nie nauczymy dziecka łagodności, zapomocą niegrzeczności grzeczności i t. d.

Zbytnie moralizowanie lub gderliwość jest plagą, która może zniszczyć w duszy dziecka lepsze zarodki. Częstokroć ani się dziecku śniło o takiem lub innem przestępstwie, gdy nieopatrzny wychowawca, moralizując, na myśl mu je nasunie. Gorsza jeszcze gderliwość, gdyż dziecko przyzwyczaja się wreszcie do niej i później choćby najzbawienniejsze rady nic go nie obchodzą.

Często też pochopni jesteśmy do udzielania nagan wychowańcom za niezadawalniające postępy w naukach, stawiając im za wzór kolegów, braci lub znajomych. Biada nam jednak, jeśli przyczyny tego tkwią nie w dziecku, jeśli ono z powodów od siebie niezależnych uczyć się nie może, jeśli na przeszkodzie na przykład stoją słabe jego zdolności. Napełnimy serce jego goryczą, rozczarowaniem, i złamiemy wiarę w siebie.

Wogóle karząc, miejmy żywo w pamięci te przez Stanisława Konarskiego wyrzeczone słowa, że im lepszy wychowawca, tem mniej karze, lub zupełnie bez kar sztukę wychowania uprawia, a prócz tego że w tych razach zwykle my sami więcej jesteśmy winni, niż dziecko.

Mając to na względzie, będziemy mniej pochopni do karania, a więcej skłonni do studyowania sposobów ułatwiających sztukę dobrego wychowania dzieci.

Umiarkowanie zalecalibyśmy też i w nagradzaniu, czy to zapomocą zewnętrznych odznaczeń, jak na pensyach kokardek, wstążek, czy też w dawaniu na własność książek, kajetów, pieniędzy. Tych ostatnich najlepiej byłoby, ażeby dziecku wcale nie dawano, a tembardziej w rodzaju nagrody za jego postępy w naukach, dobre zachowanie się. Wszak pieniądze jako pieniądze nie mają dla dziecka wartości, dopiero kupione za nie słodycze lub zabawki, sprawiają mu przyjemność. Zapewne, lecz tym sposobem uczy się ono wydawania pieniędzy na rzeczy, bez którychby się obejść mogło.

Wreszcie nigdy nie będzie zadaniem sumiennego wychowawcy, ażeby pobudzać w dziecku chęć do nauki zapomocą materyalnego wynagrodzenia jego pracy nad książką, lecz ażeby w niem wzbudzić zamiłowanie samej nauki i obowiązku pracy i trudów nad nią. Zadaniem jego jest, ażeby w wychowańcu obudzić chęć do szukania nagrody w samym sobie, którą uczuje dziecko w sercu wtedy, gdy spełni swój obowiązek lub jakiś czyn dobry, który bliźniemu łzę niedoli obetrze.

Inne nagrody, jak publiczne pochwały, stawianie za wzór dla współtowarzyszów, jeżeli są z taktem pedagogicznym robione, wywierają wpływ dodatni, używane jednak być winny bardzo rzadko, aby nie spowszedniały.

Wreszcie, chociażbyśmy w udzielaniu nagród, byleby tylko nie pieniężnych, nawet nie zachowali miary, ale zawsze przy udzielaniu ich kierowali się poczuciem sprawiedliwości, to z pewnością szkody ztąd wychowańcy nie odniosą.

Stefan Gębarski.

Z KOBIECEGO ŚWIATA.

Nie napróżno obiega świat zdanie, że Anglia przoduje na drodze cywilizacyi i postępu całej Europie. Przymioty Anglików, które ich czynią takimi bohaterami w dziedzinie nauk i przemysłu, są poczęści wrodzone rasie anglo-saksońskiej, poczęści zaś zawdzięczać je mogą synowie i córy Albionu systemowi wychowania, który odznacza się przedewszystkiem praktycznością i rozwija w nich energią, samodzielność i inteligencyą w kierunku utylitarnym.

Zdanie któregoś z nowoczesnych myślicieli, że normą stopnia cywilizacyi danego narodu jest stanowisko w niem kobiety, jej prawa, swobody i przywileje, nigdzie się tak dotykalnie nie stwierdza, jak właśnie w Anglii.

Tamtejsze kobiety są istotną połową swego społeczeństwa. Każdy się ujmie za pokrzywdzoną, lub choćby tylko za obrażoną; każdy pośpieszy kobiecie z pomocą w kłopotliwem położeniu, w okolicznościach, gdzie w innym kraju spotkać ją tylko może śmiech, lub szyderstwo... A choć uparty konserwatyzm nie dopuścił jeszcze, aby kobiety angielskie uzyskały prawo głosowania, narówni z obywatelami płci męzkiej, to jednak mają wstęp wolny na uniwersytety, a następnie swobodę praktykowania w obranym zawodzie. Mają możność i prawo wybrania sobie rodzaju zajęcia, do jakiego czują w sobie zdolność i zamiłowanie. Gdy tymczasem gdzieindziej, któż nie wie, jeżeli bacznie obserwował, co kobieta przejść musi, aby wywalczyć sobie możność pracy produkcyjnej, odpowiadającej choć w małej cząstce jej najgorętszym aspiracyom i jak często, nie mogąc wywalczyć sobie tego, o czem marzy, chwyta pierwsze lepsze zajęcie, aby tylko nie zginąć w zażartej walce o byt.

Tylko zpośród społeczeństwa tej miary i tego stopnia dojrzałości, co angielskie, wyjść mogła wychowana na jego łonie istota tak śmiała, energiczna i samodzielna, jak miss Muriel Dowie, która *sama jedna* (o zgrozo! nie wypada!) puściła się w podróż na Beskidy, dla poznania czarów tamtejszej przyrody, oraz obyczajów ludu, zamieszkującego północne stoki skalnych olbrzymów.

Zkąd jej przyszło do głowy, zamiast zwykłym śladem turystów, podążyć na południe Francyi, lub do słonecznej Italii, a co dziś jeszcze modniejsze: na Wschód, na greckie Cyklady lub wybrzeża Nilu, uciekać samej jednej w barbarzyński prawie (w porównaniu z cywilizacyą Zachodu) zakątek świata, wytłómaczyć chyba nikt się nie podejmie. Albo znać w tem sprawkę spleenu, właściwego dzieciom mglistego Albionu, albo kaprysu zwykłego u niewiast pod każdym stopniem szerokości geograficznej, a może jej serce, rozczarowane na punkcie idealnych uczuć, pragnęło na łonie dzikiej przyrody zapomnieć o goryczach i zawodach życia w świecie.

W każdym razie faktem jest, że młoda osóbka przepędziła wśród górali na Beskidach dwa miesiące w warunkach, w jakich żadna chyba niewiasta na świecie nie wojażowała dotąd, bo bez mamy, cioci, ani męża, bez kufrów, pudełek, torebek, paczuszek i tym podobnych plag mężów, ojców, braci, lub wreszcie współpasażerów. Całem jej ubraniem w tej ekskursyi „były dwie spódniczki, jedna na drugiej i żakiecik wełniany.” Parę koszul w mantelzaku, oto cały ładunek, Boże odpuść. Podróże wśród gór młoda bohaterka odbywała już to konno, już pieszo, i to boso, przez oszczędność trzewiczków. Zwiedziła w swej drodze wsie: Mikuliczyn, gdzie zatrzymała się trochę dłużej, dla obeznania się z miejscowym językiem i zapoznania z ludem, dalej Połonicę, Kosmarz, Waroklez, Jabłonnę, Żabie, Jaworowo, wreszcie miasteczko Kossowo, zwiedzając po drodze fabryki i zapoznając się z miejscowemi wyrobami, z których okazy przywiozła do Londynu,

przedstawiając na odczycie, jaki miała po powrocie, tamtejsze kilimki, hafty na płótnie, rzeźby w drzewie i t. p.

Wszystko interesowało inteligentną Angielkę w tym obcym kraju. Zachowując jedynie miłe wspomnienie czasu spędzonego w Karpatach, z humorem opisuje, czego tam doznała. Między innemi opowiada, że ustawicznie słyszała dziwy o niedźwiedziach, ale ich nigdzie sama nie spotkała. Przewodnik Jura, z którym odbywała wycieczkę na Czarnohorę, zapewne aby jej sprowadzić miłe sny, zabawiał ją podczas odpoczynku opowiadaniem fantastycznych historyj o owych niedźwiedziach. „Aby je odpędzić, dość było, podług niego, powiada turystka, całą noc palić ogień i krążyć dokoła z zapaloną głownią, udając szczekanie. Sam jednak nie pilnował przepisu, śpiąc jak zabity od wieczora do rana.” Cóż na to nasze nerwowe panienki i panie?...

Po powrocie do kraju odważna turystka wystąpiła z odczytem, dzieląc się ze słuchaczami wrażeniami, jakich doznała w swej ekscentrycznej ekskursyi. Cała ta historya zwróciła na nią uwagę angielskiego społeczeństwa. Żyjąca dotąd w cieniu, nowelistka i dziennikarka odrazu stała się sławną. Redakcye pism miejscowych dobijają się o jej współpracownictwo, a wielki dziennik „Yorkshire Post” zaprosił ją na stałą korespondentkę, artykuły jej tygodniowe wynagradzając sowicie. Pismo „The Gentelwomen,” organ stowarzyszonych kobiet, ofiarowało jej gałązkę oliwną, co jest zwykłą nagrodą dla kobiet, które się wyróżniły w dziedzinie wiedzy, sztuki, albo wielkich czynów, i nosi nazwę „The Victoria Wreath.”

Kobiety niemieckie, słysząc o swobodach, jakich zażywają córy Wielkiej Brytanii, zapewne łzy leją nad swojem upośledzeniem i brutalnym egoizmem mężów niemieckich, który żadną miarą przyznać nie chcą swej kobiecie godności człowieka.

Kwestya wyższego wykształcenia kobiet żadnego w Niemczech nie czyni postępu. Na całym obszarze Germanii niema dotąd ani jednego uniwersytetu, gdzieby wolno było kobietom słuchać wykładów. Próżne są wszelkie starania łaknących wiedzy tamtejszych kobiet. W ostatnich czasach stowarzyszenie kobiet w Wejmarze, pod nazwą „Reforma,” zrobiło podanie do sejmu rzeczy niemieckiej w którem żąda dopuszczenia kobiet do egzaminu dojrzałości, tudzież do lekarskiego.

W tejże petycyi domagają się niewiasty germańskie, iżby rząd zezwolił im na medyczne studya na odpowiednich uniwersytetach szwajcarskich. Wątpliwym jest wszakże rezultat tej petycyi wobec zaciętego konserwatyzmu, czy też obawy kunkurencyjnej mężów niemieckich.

Mimo to, poczucie odrębności indywidualnej i tchnienie postępu, niby prąd elektryczny, przebiegają umysły Niemek i pobudzają je do próbowania wszelkich środków, któreby mogły skruszyć twardą skorupę obskurantyzmu, w jaką je wciska prawodawstwo i tradycye germańskie.

Dnia 5 b. m. w sali ratuszowej w Wiedniu odbyło się zgromadzenie kobiet, wcelu uchwalenia petycyi do Rady państwa o dopuszczanie kobiet do prawa głosowania przy wyborach politycznych i municypalnych.

Niemcy, którzy lubią nazywać siebie „narodem myślicieli,” w stosunku do swoich kobiet trzymają się tradycyi tyranii i egoizmu, które sprawiają, że u nich żona jest najpierwszą sługą, a kobieta wogóle istotą podrzędną i ograniczoną, na której zachcianki się nie zważa.

Jaskrawą ilustracyą uzurpacyi praw i przywilejów kobiety na drodze kształcenia się wyższego stanowić może między innemi świeżo ogłoszony przez wszystkie dzienniki fakt fundacyi Thiersa, mocą której wznosi się w Passy pod Paryżem gmach, przeznaczony na schronienie dla 15 młodzieńców, pragnących się kształcić w jakiejś specyalnej gałęzi wiedzy, lub doskonalić się w sztuce. Każdy z owych młodych ludzi wciągu trzech lat przebywać może bezpłatnie w zakładach, mając do swego rozporządzenia apartament złożony z trzech pokojów, miejscową bibliotekę, muzeum, galeryą sztuk pięknych. Znużywszy, lub znudziwszy się pracą, może przyjmować gości w ogólnym salonie i pokrzepiać swe siły we wspólnej sali jadalnej.

Czy obok uwielbienia dla wzniosłości uczuć, kierujących fundatorem tej wspaniałej instytucyi, nikogo nie uderza rażąca niesprawiedliwość, w traktowaniu przez ogół pragnących wiedzy młodzieńców, a kobiet?

Czy nikomu nie przyjdzie na myśl porównać środki i rodzaj pomocy, jakie wdążeniu do swych celów otrzymują od ogółu ci i tamte?

Utalentowany, lub pełen wiedzy młody człowiek, pragnący iść wyżej na obranej drodze, a nie posiadający środków odpowiednich, otrzymuje stypendya, wstęp wolny do wszelkich bibliotek i muzeów, zapisy osób prywatnych, wstęp do uniwersytetu, czy w charakterze studenta, czy też wolnego słuchacza, jednem słowem gdziekolwiek się obróci, wszędzie ma ułatwienia, oszczędności i środki w czerpaniu z boskiej krynicy, aby tylko nie zbywało mu na chęciach do tego.

A kobieta?

Przedewszystkiem, jeśli ma aspiracye wyżej sięgające poza zwykły szablon, jeżeli wzrokiem dosięga dalszych horyzontów, niż jej zakreślają tradycye i obyczaje „przyjęte,” ogłasza się ją „narwaną,” egzaltowaną, lub, co gorsza, emancypantką.

Rezonuje się bowiem wiele o niższości umysłu kobiecego i ograniczonych szrankach jej wiedzy, ale nikomu nie przyjdzie na myśl, jaka się dzieje niesprawiedliwość tym, które czują się na siłach iść wyżej i wyżej, ale o własnej sile nie mogą, a nikt ręki pomocnej nie wyciągnie do nich.

Musisz myśleć sama o sobie.

W Genewie jeszcze roku 1877 zawiązało się stowarzyszenie kobiet pod tytułem „Międzynarodowy związek przyjaciółek dziewic.” Towarzystwo to ma na celu udzielanie opieki młodym panienkom, które muszą opuszczać rodzinę, a nawet kraj własny, dla pracy. Daje ono schronienie tym, które chwilowo pozbawione są zajęcia; każda z członkiń opiekuje się poleconą sobie panienką. Instytucya powyższa posiada komitety w 172 miastach Francyi. Oprócz tego w Rossyi, Niemczech, Austryi, Anglii, Włoszech, Hiszpanii, Portugalii, Belgii, Holandyi, Grecyi, Szwajcarze, Danii, Norwegii, Rumunii, Turcyi oraz Algieryi, Azyi i obu Amerykach. Są tam bezpłatne biura stręczeń, domy, dające schronienie za małą opłatą.

W Paryżu niedawno otwarty został drugi zrzędu przytułek przy ulicy Denfert Rochereau 47, pod kierunkiem panny Lejeune. Całe utrzymanie, oprócz prania, kosztuje wnim dziennie 1 fr. 50 cent. Przez ciąg miesiąca można korzystać z przytułku, nie dłużej. Przytułek założony poprzednio mieści się przy ulicy Jean Jacque Rousseau 53, pod kierunkiem p. Henriquet.

U nas także kobiety radzą sobie, jak mogą. Pewnie wiedzą uważne czytelniczki z gazet codziennych, że pewna młoda osoba wstąpiła do jednej z aptek warszawskich w charakterze uczennicy czy praktykantki i bardzo prędko przerwała swą praktykę, *bo się znudziła*, jak doniosły wszechwiedne kuryery.

Tymczasem cóż się okazało? Wcale się nie znudziła młoda osóbka, tylko nie mogła wytrzymać wśród szykan i dotkliwych docinków ze strony towarzyszów pracy. (Co to może obawa konkurencyi? zapomina się wobec niej o galanteryi, którą tak się chlubią adepci farmakologii!)

Ostatnio dowiaduję się, że doktorka medycyny, panna G., stara się o pozwolenie na otwarcie w Warszawie apteki, w której mogłyby pracować wyłącznie kobiety. Aspirantki, pragnące się poświęcić farmacyi, mają tam odbywać kursa praktyczne.

Te się pewnie *nie znudzą* tak prędko, jak niefortunna ich poprzedniczka...

Co tam! pocieszmy się myślą, że jeszcze są kraje na świecie, w których stokroć gorzej dzieje się niewiastom, niż u nas.

Wszyscy wiemy, jak straszny jest los kobiet na Wschodzie, że w Indyach po śmierci męża wdowę wraz z bronią, koniem, klejnotami i wszystkiem, co stanowiło „własność” nieboszczyka, palą na stosie, nie pytając jej czy ma, lub nie ma ochoty do życia, że w Turcyi zamykają żony na dwa spusty i tam dalej.

Jest jeszcze zakątek świata, a tym jest Korea, gdzie niewiasty nie posiadają żadnych praw, a nawet nazwiska. Kobieta jest tam tylko czyjąś *siostrą*, lub *córką*, a po zamążpójściu nawet nie *żoną*, ale tylko *matką*.

Jeżeli staje przed sądem, nadają jej imię czasowe dla ułatwienia procedury. Dorosłej dziewczynie wolno się widywać i rozmawiać tylko z najbliższą rodziną, a nikt nie może się zbliżyć do kobiet zamężnych, które żyją w zupełnem odosobnieniu. Nawet przedstawiciel prawa wejść tam nie może.

Przy naprawianiu dachu jest zwyczajem wzywać sąsiadów, aby zamykali drzwi i okna i nie zaglądali do komnat kobiecych.

Kobiety w Korei, na podobieństwo chińskich, nie mają głosu w sprawie małżeństwa. Na uroczystość weselną w domu pana młodego urządzają wzniesienie przybrane bogato, wprowadzają młodą parę, która patrzy na siebie po raz pierwszy w życiu, i stawiają na wzniesieniu. Młodzi bacznie się sobie przyglądają i składają ukłon w milczeniu. Następnie otrzymują układ na piśmie i ceremonia skończona. Młoda para udaje się do swych komnat. Potem panna młoda odbiera powinszowania w milczeniu i siada w kącie pokoju, nie mogąc się poruszyć, ani odezwać, aby nie złamać przepisów i nie narazić się na śmiech.

Przy wszystkich tych dzikich obyczajach, tamtejsze kobiety mają jeden szczególny przywilej, a tym jest prawo chodzenia po ulicach do godziny 1 w nocy, podczas gdy mężczyznom wolno używać przechadzki tylko do 8-ej.

Wdowa nie wychodzi zamąż powtórnie i całe życie powinna nosić żałobę.

No, trzeba przyznać, że to trochę łaskawiej, niż w Indyach!

Doprawdy ten Paryż, to raj prawdziwy, nietylko dla mężczyzn, który w stolicy szyku znajdują wszelkie rozkosze dla ducha i ciała.

Kwestya kobieca należy tam do nader popularnych i sympatycznych, znajdując czynne poparcie mężczyzn.

Dnia 25 Kwietnia odbył się tam międzynarodowy zjazd delegatek z różnych krajów (Assemblée général), które należą do stowarzyszenia, założonego pod nazwą „Powszechnego związku kobiet.” Posiedzenie zorganizowano w sali Towarzystwa geo-

graficznego, staraniem p. Maryi Szeligi, znanej u nas powieściopisarki, która jest sekretarką stowarzyszenia, a także redaktorką miesięcznika związkowego, już drugi rok wychodzącego w Paryżu pod tytułem „Bulletin de l'Union universelle des femmes."

Przewodniczką kongresu była znakomita uczona p. Clemence Rover, streszczająca w swej przemowie dzieje emancypacyi kobiet we Francyi. Wykazała ona, że postęp w tym kierunku posuwa się we Francyi bardzo wolno, a to z przyczyny, że Francuzki są bardziej konserwatywne, oraz mniej przedsiębiorcze od innych kobiet europejskich. „Ruch kobiecy we Francyi rozpoczął się roku 1848, od czasu, kiedy powstał klub kobiecy „des Vesurviennes."

Sekretarka towarzystwa, to jest p. Marya Szeliga, odczytała sprawozdanie z działalności „związku," którego zarząd reprezentuje obecnie sześć narodowości. Skład komitetu zarządzającego stanowią cztery publicystki i redaktorki pism, jedna doktorka filozofii i jedna powieściopisarka. Komitet ułożył ogólną ustawę „Związku," podług której ogólną federacyą tworzą: 1) „Grupa centralna," złożona z członków stale przebywających w Paryżu; 2) „Grupy narodowe," urządzone w każdym kraju, gdzie istnieją członkowie „Związku."

Członkowie każdej grupy związkowej dzielą się na stałe komisye, obowiązane studyować pilnie kwestye, odnoszące się do polepszenia losu kobiet. „Związek" posiada w Europie grupy w Austryi, Rumunii, Niemczech, Szwecyi, Danii, Anglii i Grecyi. Korzyści praktyczne z istnienia „Związku" są widoczne, szczególniej przy wynajdywaniu zajęcia dla kobiet, które, dla różnych okoliczności, muszą opuszczać kraj. Członek jednej grupy wrazie potrzeby znajduje opiekę natychmiastową u innej grupy, należącej do „Związku."

Jednem z dążeń najpilniejszych stowarzyszenia jest urządzenie domu gościnnego dla wszystkich kobiet, potrzebujących schronienia.

W roku zeszłym ogłoszona została na ten cel subskrypcya.

Czasopisma paryzkie przy sprawozdaniach z kongresu, zaznaczają, że „Powszechny związek kobiet" zczasem stać się może organizacyą, z którą trzeba się będzie liczyć intelektualnie i ekonomicznie.

Poczwarka.

ODCZYTY.

Pan J. M. Kamiński, adwokat przysięgły i znany publicysta i mówca, wybrał dla swego odczytu, ostatniego z seryi na dochód Osad rolnych, temat nader zaciekawiający: „Panna, mężatka i wdowa wobec prawa." Głównym celem tego odczytu, według słów samego prelegenta, było wzbudzenie chęci zapoznania się z zasadami prawa w kobietach, które, górując stanowczo nad brzydszą połową rodzaju ludzkiego pod względem wykształcenia estetycznego i literackiego (nie mówi się tu o specyalistach), interesując się nawet przyrodoznawstwem, wciąż tak niezmiennie stronią, często z wielką własną szkodą, od nauki prawa.

Nie ograniczył się jednak prelegent do prostej ekspozycyi i praktycznego komentowania najważniejszych punktów kodeksu: wypadła mu potrzeba wkroczenia opłakana to była zaiste, kampania! w dziedzinę zawikłości kwestyi kobiecej. Tu w podziw mogła czasem wprawić swą naiwnością argumentacya pana Kamińskiego, wysilającego się na udowodnienie, że prawodawca miał racyą uznając mężatkę za nieletnią aż do śmierci jej samej lub choć przynajmniej męża.

Oto na przykład próbka potężnych rozumowań pana Kamińskiego. Zwolennicy emancypacyi, czyli *równouprawnienia*, żądają dla kobiety prawa rozporządzania swem mieniem; żądanie to jest nonsensem, żona bowiem winna posłuszeństwo mężowi. Nie mam tu zamiaru dowodzić, że żona nie powinna słuchać męża, szczególnie kiedy ten ma racyą, ale cóż to za argumentacya! Szkoda nawet dla niej takich terminów, jak *circulus viciosus* lub *petitio principii*. Niedość jednak na tem! Celem zniszczenia w umysłach słuchaczów resztek wątpliwości co do konieczności wiecznego niepełnolecia żony, sz. prelegent powołał się nawet na powagę Iwana Groźnego, którego ukazy najzupełniej *de coq à l'âne* cytował.

Przejdźmy jednak do rzeczowej treści odczytu. Niższość praw kobiety co do stosunków rodzinnych i prawa rodzinnego rozpoczyna się dla niej i kończy wraz z małżeństwem (czyli, jak tylko równość jej wchodzi w kolizyą z interesami mężczyzny). Panna testuje w tym samym co i mężczyzna wieku, tak samo może być usamowolnioną przez rodziców w roku 15, a przez radę familijną w 18, po roku 21 tak samo staje się pełnoletnią. Nieograniczona jednak w swych prawach majątkowych, pełnoletnia właścicielka pozbawioną zostaje nietylko prawa rozporządzania swą własnością, nietylko wreszcie rządzenia nią, lecz nawet bronienia jej bez zezwolenia i asystencyi swego władcy i pana, któremu przysługuje prawo rządzenia jej i własnym majątkiem bez kontroli, z jednem tylko zastrzeżeniem: powinien on dostarczać rodzinie odpowiedniego utrzymania. Gdyby jednak mąż niedołęztwem swem lub rozrzutnością na ruinę majątek *żony* narażał, lub też dla jakichbądźkolwiek powodów nie dostarczał rodzinie odpowiedniego utrzymania, żonie przysługuje prawo zwrócenia się do sądu, który może odebrać mężowi zarząd zagrożonem mieniem.

W taki to sposób zarówno kodeks Napoleona, jak i prawo z roku 1825 reguluje stosunki w małżeństwie, jeśli tylko żadna umowa przedślubna nie została zawartą.

Co się tyczy umów przedślubnych, to dwa ich typy są dozwolone, chociaż prawodawca za normalne uregulowanie stosunku rodzinnego uważa nie *wspólność* majątkową w małżeństwie, ani też rząd *posagowy*, lecz zasadę zależności bezwzględnej żony od męża.

Tryb ten normalny dałby się sprowadzić mniejwięcej do następujących punktów, określających stosunek osobowo-majątkowy: zamieszkanie małżonków jest wspólne, oboje winni są sobie pomoc wzajemną, mąż winien dostarczyć utrzymania, żona winna mężowi uległość i posłuszeństwo.

Jak zaś połączenie dwojga osób nie znosi indywidualności, tak i połączenie majątków nie znosi własności osobistej, mąż tylko jednak rządzi z tem ograniczeniem, że niewolno mu ustąpić w tym względzie praw swoich komu innemu, obciążać majątku żony długoterminowemi kontraktami.

W myśl opartej na umówie przedślubnej zasady wspólności, każde z małżonków skrępowane jest wolą drugiego co do rozporządzania wspólnem mieniem; wrazie śmierci pozostała przy życiu strona dziedziczy połowę całego majątku. Rząd posagowy czyni z pewnej omówionej w umowie przedślubnej sumy kapitał żelazny, który żadną miarą stracony być nie może nietylko przez męża, lecz nawet i przez żonę; ta ostatnia może w nim jedynie dać udział dzieciom. Jeśli ma on złą stronę ze względu na wycofywanie z obiegu i uczynienie martwym pewnego kapitału, to ma i dobrą: zapewnienie pewnym ludziom pewnej pomocy na czarną godzinę.

Brak zaś zupełny umowy przedślubnej, wrazie ruchomości całego majątku żony, może znów w każdej chwili narazić wszystko na stratę. Zły mąż może wszystko strwonić, a wszystko, wyprawa nawet, może być subhastowana za długi kawalerskie męża. W braku notaryalnie poświadczonego inwentarza wniosku żony, żadne jej protestacye nie mogą być uwzględniane, ze względu na interes kredytorów, którzy nigdy prawie nic odebraćby nie mogli, gdyby słowo żony: „to moje" miało mieć wiarę bezwzględną. Jeśli majątek żony stanowi hipotecznie uregulowana nieruchomość, umowa przedślubna mniej jest niezbędną.

Zasada wyłączności majątków w małżeństwie dlatego przedewszystkiem nie podoba się panu Kamińskiemu, że znajduje się w sprzeczności z obowiązkiem posłuszeństwa żony dla męża. Poniża ona, według prelegenta, godność mężczyzny, czyniąc go rządcą zwykłym conajmniej. Z wyłączności mogłyby wyniknąć rozmaite kolizye pomiędzy rozmaitemi prawami. Tak na przykład żona mogłaby żądać od sędziego pokoju eksmisyi męża z jej domu, podczas gdy inny artykuł nakazuje małżonkom wspólność zamieszkania.

Poślubne umowy nie są dopuszczane ze względu na to, że musiałyby być źródłem największych nadużyć, po pewnym bowiem czasie wspólnego pożycia, jak wszystkim wiadomo, jedno z małżonków zawsze prawie zyskuje nad drugiem ogromną przewagę moralną, nie mówiąc już o możliwości wpływu osób trzecich.

Z chwilą śmierci męża, wdowa staje się panią samowładną swego własnego majątku i wogóle wraca do pełni praw swych towarzyskich i rodzinnych. Jeśli są dzieci, wdowa jest naturalną ich opiekunką, wrazie zaś ich pełnoletności, przysługuje jej prawo dożywocia w pewnych rozmiarach. Tak samo się dzieje, jeśli spadkobiercy są blizkimi krewnymi, jeśli że brak krewnych do 4-go stopnia, wdowa otrzymuje na własność jedną czwartą część, a jeśli brak spadkobiercy do dwunastego pokolenia, cały majątek.

Wdowa może uniknąć koniecznego zkądinąd opieczętowania majątku zmarłego męża (co często zgubnie może wpłynąć na interesa, jeśli majątek ten jest w handlu lub przemyśle), gdy wszyscy spadkobiercy zgodnie oświadczę, że tego nie wymagają. Zebranie rady familijnej powinno być najpierwszą czynnością wdowy.

Rada ta wyznacza matce opiekuna przydanego. Wrazie chęci wdowy wstąpienia w ponowne związki małżeńskie, rada familijna orzeka, czy można matce, poddającej swe serce i wolę wpływowi obcego człowieka, pozostawić opiekę nad majątkiem dzieci?

Prawo pod jednym tylko względem krępuje wdowę jako taką, a mianowicie wkłada na nią obowiązek żałoby 10-cio miesięcznej, nakazanej zarówno ze względów moralnych, jak i prawnych.

Prelegent oświadczył, że z umysłu nie zajmował się wcale separatką i rozwódką, nie reprezentują one bowiem typów odrębnych praw kobiecych. Oklaski pożegnały ostatniego w tym roku mówcę na dochód Osad rolnych.

J. N.

BIAŁA CZAPLA.

PRZEZ

Sarę Orne Jewett.

Przełożyła z angielskiego

T. Prażmowska.

(Dokończenie.)

Im wyżej się wspinała, tem wyższem zdawało się drzewo; końca mu nie było doprawdy! Kolos ten, maszt ogromny na ziemi-wędrownicy zatknięty, zdumieć się musiał owego ranka, uczuwszy że rezolutna ta iskierka energii ludzkiej toruje sobie drogę na niedostępnej jego osobie. Kto wie czy nie zgrubiały trochę ostatnie gałązki, by dopomódz w rozpaczliwym wysiłku słabiuchnej, lekkiej istotce? Stary świerk kochać musiał nieoczekiwanego gościa, odważne serduszko, rzucające się w piersi tej dziewczynki o siwych oczach, która puściła się sama jedna na tak niebezpieczną przygodę; to więcej przecie znaczyło niż wszystkie sokoły i nietoperze, wszystkie ćmy nocne, a nawet i wszystkie mile gwiżdżące drozdy, które znał dotąd świerk stary. I posępne, igłami najeżone, nieruchomo stało ogromne drzewo, urągając wietrzykowi, który przeciąga powietrzem, podczas gdy niebo coraz się jaśniej złoci świtaniem czerwcowego poranku.

Komuś zdołu patrzącemu twarz Sylwii wydałaby się podobna do bardzo, bardzo bladej gwiadeczki, gdy zmordowana i drżąca, ale odniesionem zwycięstwem rozpromieniona, wdrapała się wreszcie na wierzchołek drzewa, które z nerwową siłą obejmowała.

Tak, morze to było tam w dali, w blaskach porannego słońca wszystkiemi odcieniami złota błyszczące, a w tę światłość wschodzącą wolnym ruchem skrzydeł szybowały dwa sokoły. Z tej wysokości patrząc, jak nizkim wydawał się lot tych ptaków, które dotąd widywała tylko Sylwia, podobne dwóm czarnym punkcikom na szafirowem sklepieniu nieba! Popielate ich pierze miało aksamitny połysk skrzydeł ćmy nocnej; przeleciały tak niedaleko od dziewczynki, że jej się zdawało, iż i ona także lotem się wznieść wgórę potrafi. Na zachodzie lasy i folwarki milami się ciągnęły wokoło; gdzieniegdzie migały w dali dzwonnice wiejskich kościołów. Zaiste, świat to był cały, wielki, ogromny nad podziw!

Coraz głośniej śpiewały ptaki, aż wreszcie ukazało się na niebie olśniewające blaskiem słońce. Widziała teraz Sylwia żagle tu i owdzie na morzu bielejące, a chmury przed chwilą purpurowe, albo różowe, złotem przeświecające całe, blednąć już teraz zaczynały.

W tym oceanie zieleni gdzie usłała sobie gniazdo czapla biała? Czarodziejski ten widok, wspaniałe objawienie rozległości świata u nóg jej leżącego, miałoż być jedyną nagrodą tak wielkiego trudu?

Nie. Spojrz raz jeszcze, Sylwio, tam kędy zieleń trzęsawiska oprawna w ramę brzóz srebrnych i ciemnych sosen, ujrzysz znowu czaplę białą w tem samem miejscu, w którem ją raz już widziałaś. Patrz, Sylwio! patrz! tam, zponad uschłej sosny wznosi się śnieżnie biała plama, podobna do pędzonego wiatrem puchu, w oczach ci rośnie, coraz bliższa ciebie, coraz bliższa... Teraz jest tu, niedaleko, poznajesz ją po tym ruchu skrzydeł tak szybkim i śmiałym, po tej długiej szyi wysmukłej, po kitce na łebku wiejącej... poznajesz? to czapla biała! Poczekaj!... poczekaj jeszcze, maleńka, nie rusz ręką ani nogą, niech nawet chciwie patrzące oczy twoje nie cisną zbyt żywym promieniem, bo czapla przysiadła na gałęzi tego świerku, na którym ty siedzisz, i widzisz jak ptaszek, tuż obok ciebie, gładząc śliczne piórka, strojąc się od rana na dzień cały, przywołuje pozostałą w gnieździe samiczkę.

W kilka minut potem, gdy rzesza hałaśliwie szczebiocących ptasząt spadła na drzewo, a poważna czapla, znużona swawolą ich i hałasem, ustąpiła im miejsca, pierś dziewczynki podniosła się długiem westchnieniem. Znała już teraz tajemnicę dzikiego ptaka, który, wysmukły i lekki, ważył się i krążył w powietrzu, zanim wreszcie prosto, jak strzała, pomknął do gniazda swego na trzęsawisku. Wtedy Sylwia, zadowolona, spuszczać się nadół zaczęła, nie śmiejąc spojrzeć na gałęź poniżej rosnącą, cochwila rozpłakać się gotowa, tak bolały ją palce, tak mimo jej woli zsuwały się pokrwawione nóżki. A jednocześnie zapytywała siebie, co jej powie nieznajomy i co o niej pomyśli, gdy go do gniazda czapli poprowadzi.

— Sylwio! Sylwio! — wołała babka zaniepokojona.

Ale nikt nie odpowiadał na wołanie; w łóżeczku nie było nikogo, a Sylwia znikła bez śladu.

Zbudził się ze snu myśliwy i przypomniawszy sobie czekającą go przyjemność polowania, czemprędzej się ubrał, aby chwili czasu nie stracić. Wnosząc z kilku odpowiedzi, jakich mu wczoraj udzieliła ta nieśmiała, maleńka dziewczynina, pewien był, że przynajmniej widziała czaplę białą; musi więc dowiedzieć się od niej czegoś pewnego.

Zbliża się właśnie Sylwia, bledsza niż kiedykolwiek; stara jej sukienka, dobrze już podniszczona, wisi na niej w łachmanach, cała poplamiona żywicą. Babka i młody człowiek, oboje przed domem stojący, na wyścigi zadają jej pytania. Teraz właśnie pora mówić o tej uschłej sośnie tam, nad brzegiem trzęsawiska, Sylwia nic jednak nie mówi, chociaż gniewa się na nią babka, choć poczciwe, prośbą wymowne oczy młodego człowieka patrzą prościuteńko w jej źrenice. Z łaski jego bogatemi być mogą. Obiecał zapłacić... babka ubogą jest staruszką... a przytem tak miło byłoby Sylwii radość mu sprawić!

On czeka na opowiadanie, na ustach dziewczynki wiszące.

Nie, nic nie powie Sylwia! Cóż ją tak nagle powstrzymało i odebrało jej mowę? Na darmo więc żyje lat dziewięć i przez lat dziewięć rozsądku nabiera. A teraz, gdy nadeszła chwila sposobna, gdy po raz pierwszy wyciąga do niej świat rękę, czy odepchnie tę rękę pomocną i przyjazną i dlaczego to uczyni? Czy dla miłości ptaka? Tak, dla miłości ptaka. Szmeru gałęzi świerkowych pełne jeszcze ma uszy i nie zapomni nigdy, jak ukazała się jej czapla biała, przez wyzłocone powietrze ku niej lecąca, jak razem przyglądały się obie morzu i dnia wschodzącego purpurom... Nie! Sylwia mówić nie może, nie może zdradzić tajemnicy ptaka i na śmierć wydać białą czaplę.

O, uczciwości ty święta! Ta, która cię w czyn wprowadziła, boleśnie potem cierpiała, gdy zawiedziony gość opuścił dom jej babki. Niestety! chętnie byłaby za nim poszła i służyła mu, i kochała go tak, jak umie kochać pies wierny. Przez długi czas słyszała Sylwia echo jego świstawki, które w uszach jej brzmiało wspomnieniem, gdy leśną ścieżyną pędziła z wygonu do domu upartą i nieposłuszną krówę. Zapomniała już nawet o zmartwieniu, które ściskało jej serce za każdym wystrzałem, gdy milczące, z piórkami od krwi wilgotnemi spadały na ziemię drozdy, wróble, gile i pliszki, piosnki swej nie dokończywszy.

Czy ptaki były dla niej lepszemi przyjaciółmi, niż stać się nim mógł myśliwy? Kto wie?... Ale ilekolwiekby na tem straciła, pamiętajcie o niej, bory ciche i wy, długie dni letnie! Dary swoje i łaski jej przynieście i wszystkie tajemnice swoje objawcie samotnej tej dziecinie!

Z TYGODNIA

Pogoda i ciepło ustaliły się wreszcie tak, że obecnie każdy dzionek Boży od poranka do nocy służyć może za... porę przechadzkową. Ma się rozumieć, że z pory takiej korzysta każdy kto może, a takich w miasteczku naszem, próżniaczem na potęgę, nie brakuje nigdy. Włóczą się tedy po chodnikach ludziska bez celu, byle zabić czas, którego jest zawiele. Spacerujących w każdej godzinie dnia mnóstwo, a w porze poobiedniej i wieczorowej mnóstwo to wzrasta do potęgi tłumów, które noga za nogą, leniwie, śpiąco, suną od Trzech Krzyży do Zygmunta i z powrotem. Aleje roją się, natłoczone, nabite, fala głów przepływa je od końca, do końca a nad nią unosi się inna, z kurzu i wyziewów miasta, których mu nigdy niebrak.

Apropos tego kurzu, musieliśmy przed paru dniami wysłuchać takiej apostrofy:

— Na rany Bozkie, trzeba koniecznie pozbyć się tej plagi, która rujnuje piersi ludzkie, oślepia oczy, zatruwa powietrze, mierzi każdą chwilę przechadzki! Wy, felietoniści pism dla pań przeznaczonych, macie obowiązek wpływać na nie, powściągać, perswadować, błagać wreszcie.

— O co?

— O troszeczkę krótsze suknie, które są przyczyną wszystkiego złego. Troszeczkę, niewiele, parę cali mniej i wystarczy! Przecież w Berlinie wyszedł surowy nakaz...

— Fe, panie dobrodzieju... co tam Berlin, co nakazy, tu sprawa z paniami!

— To prosić trzeba.

— A jak się próżną prośbą ośmieszę? Przecież panie, noszące długie spódniczki, nie czynią tego chyba bez swojej racyi.

— Jakiej u licha?

— Czy ja wiem? Może troszeczkę zaduże nóżki, może odrobinę powykręcane buciki, może nie dosyć białe pończoszki? Bywa rozmaicie! A przytem nietrudno spostrzedz, że nie wszystkie włóczą za sobą pół łokcia trenu, że niektóre nie lękają się ukazywania zgrabniutkich obcasików i że... (ale zastrzegam sobie wszelką nieodpowiedzialność za wypowiedzenie tej uwagi, której źródłem są może nie dość ścisłe obserwacye) większa część elegantek, zamiatających ogonami chodniki uliczne, nie należy do rzędu istot, któreby pod jakimkolwiek względem za modele służyć mogły. Można się tego domyśleć z ich sztucznych rumieńców, z ich energicznych ruchów, z ich spojrzeń... ach, i Bóg wie nie z czego!

A co się tyczy owego zakazu berlińskiego, nie ręczyłbym za to, czy go nie wypadnie jaknajrychlej

odwołać. Rzecz to niezupełnie przyzwoita wprowadzać ograniczenia do spraw tak bardzo osobistościowych, jak ubranie. Nie ma pod słońcem kobiety, któraby, pokrzywdzona przez matkę-naturę na punkcie wielkości lub kształtów nóżek, a zresztą ubogacona wszelkiemi wdziękami, zdecydowała się ukazać słabą stronę swej piękności dlatego, że tak chce nakaz. Raczej przypuszczam cały szereg zajść, ach, nawet krwawych, ale ten zakaz nie utrzyma się.

Prośba, perswazya... to co innego!

Więc prosimy (ja i wielu mnie podobnych śmiertelników, cierpiących z przyczyny długich spódniczek), o piękne i dobre panie, a nadewszystko wy, co nie potrzebujecie się wstydzić ślicznych nóziąt i zgrabniutkich bucików, skróćcie nasze męczarnie i... swoje treny.

Zresztą te tylko, które nosicie na ulicy, w ogrodzie, w Alejach, — o salony i teatra, o pokoje i powozy nie idzie! Będzie wam to policzone tu, na ziemi, przez statystykę sanitarną, i tam w niebie, przez braci waszych skrzydlatych, a nie sprawiających nigdy kurzu na utrapienie swoich anielskich spółmieszkańców.

Warszawa bywa zwykle w porze letniej bardzo nudną i posiada jedyną prawie rozrywkę w przechadzkach. Ta rozrywka, jeżeli ma nie być szkodliwą, winnaby zalecać się przedewszystkiem powietrzem świeżem i czystem, a jest to niemożliwe śród tumanów kurzu.

Ach te długie treny!

W tej chwili miastu naszemu nastręczyła się okazyjka do zabicia kilku wieczorów zpowodu przyjazdu trupy aktorów i śpiewaków francuzkich pod wodzą słynnej pani Judic. Kto jest ta pani? spytasz, nieświadoma czytelniczko. Czy to ta właśnie, której wizerunki, jak z rogu obfitości, rozsypano po wystawach sklepowych, którą się portretuje na szpaltach pism sztuce poświęconych, którą się reklamuje na całe gardło? Ależ ta sama, najzupełniej ta sama! Posiada ona wielkie zalety w opinii szczególnych znawców: śpiewa z humorem i finezyą kuplecíki ofenbachowskie, te arcytwory muzy, która zazwyczaj zwie się *podkasaną*. Czyż tylko tyle?... Nic a nic więcej, ale to zupełnie wystarcza, aby na występy tej utalentowanej... szansonistki ludzie ciekawi przepłacili bilety dziesiątkami rubli, których wątpię, aby kto miał do zbytku. Pani Judic lat temu... kilkadziesiąt (ze trzydzieści chyba) była znakomitością na bulwarach paryzkich, posiadających pełno znakomitości specyalnych. Dzisiaj przyniosła nam resztki swego talentu w niezachwianej słusznie pewności, że tu wszystko sprzedać można, na coby się gdzieindziej nabywców nie znalazło. A jakże! Od tego jest reklama z jednej strony, a z drugiej ciekawość, od tego są usłużne ręce, które potrafią pisać, rysować i klaskać na zawołanie, od tego jest skrzywiony smak publiczności, bałamucone gorliwie i wytrwale przez tych właśnie, coby ją prostować winni.

Występy pani Judic — aż trzy! — nie są przedmiotem do dłuższej z wami pogawędki, łaskawe czytelniczki, i dlatego przechodzimy nad niemi jaknajprędzej do porządku dziennego, żebyśmy jednak tutaj nie natknęli się na cały szereg kwestyjek i wątpliwości, czuję się w obowiązku zastrzedz, że według mego przekonania co innego są występy Rossi'ego, Sary Bernardt, Meiningeńczyków, a co innego te popisy podstarzałej szansonistki, której sam rodzaj talentu nigdy do poważnie pojmowanej sztuki zaliczonym być nie powinien. Co innego przeto znaczy nawoływanie do widzenia i słyszenia tego, co kształci i podnosi, a co innego zachęcanie do oglądania rzeczy nizkich, mogących zaspokoić tylko ciekawość bezmyślną.

Dlaczego pani Judic jednakże znalazła tak żywe poparcie u nas?... Niektórzy przebąkują, że jest Żydówką, a jeżeli to prawda, nic dziwnego że wzniósł się wielki okrzyk reklamy z tego bardzo już licznego tłumu osobistości wpływowych, które w rękach swoich dzierżą tyle środków oddziaływania na bezświadome masy. Bardzo to smutne, ale, niestety prawdziwe.

Niezależnie od widowisk teatralnych, dobrych czy złych, tanich czy przepłacanych, wiosenna pora robi swoje na polach i łanach. Kiedy jeszcze wichry dęły, potoki wody z nieba płynęły, zimno do kości się darło, poczynano już narzekać, że plony tegoroczne przepadną. Było źle, bardzo źle, jeżeli nie w rzeczywistości, to przynajmniej w gawędzie. Teraz na niebie jasno, na ziemi sucho, w powietrzu ciepło i słówko „poprawia się" słychać ze stron różnych. Ba! nawet ceny zboża poszły wgórę, do niepraktykowanej nieledwie wysokości, szkoda tylko że na przednówku, kiedy już sprzedawać niema co. Bądźcobądź może się istotnie poprawić. Pszenica obiecuje się bardzo pięknie, żyto tu i owdzie także, gdzie go poprzednio z konieczności nie zaorano, bo zgniło od wilgoci zbytecznej, a co się tyczy owoców, to wróżby każą się ich spodziewać bardzo dużo. Jarzyny wogólności wyglądają nieźle, a wszystko to pozwala oczekiwać plonów nie gorszych niż poprzednio, wbrew okrzykom niedawnym, iż wszystko przepadło!

Gdyby mi się godziło być bardzo szczegółowym sprawozdawcą z faktów tygodnia ubiegłego, musiałbym tu wspomnieć o... kilkunastu przejechaniach. Doprawdy, nie przesadzam! Czuję jeszcze świeże wrażenie, doznane na widok takiego przypadku, którego rezultatem pozostanie kalectwo na całe życie. Pod wrażeniem tem zapytuję: czy niema istotnie sposobu powściągnięcia niesforności woźniców, którym się zdaje, że nie mają nic więcej do roboty, jak tylko krzyczeć „nabok!" popędzać konie i smagać biczami tych, co im się niedość żywo z drogi usuwają? Ciekawym coby uczynił automedon warszawski, gdyby się nagle znalazł w Berlinie, gdzie nikt jadącym z drogi nie ustępuje, gdzie nadjeżdżający koń spotyka się z tęgo okutym kijem przechodnia, gdzie cała odpowiedzialność spada nie na tego, co się pod kopytami i kołami znalazł, lecz na tego, co się najechać nie wzdragał? U nas nie pyta zuchwały woźnica, czy ten, co ma „nabok" uskoczyć, słyszy jego wołanie, czy skakać umie i może, czy nie jest ślepy, albo głuchy, chory lub niedołężny, czy skacząc, z nóg się pod konie nie zwali. Skoro krzyknął „nabok!" to już uczynił dosyć i mniejsza o resztę. A przecież zdawałoby się, że ostrożność powinna być najpierwszym obowiązkiem tego co krzywdę zrobić, nie zaś tego, co skrzywdzonym być może. Tego woźnice nasi nie rozumieją lub rozumieć nie chcą i to wszelakiemi sposobami zrozumiałem dla nich uczynić trzeba. Nie wyjaśnieniem, to zakazem, nie zakazem, to surową karą. Śmiesznem jest, smutnie śmiesznem to, że w Warszawie parę setek ludzi traci corocznie zdrowie (niektórzy i życie) dzięki przejechaniom! Taki to nienaturalny sposób umierania, takie zbyteczne źródło nieszczęścia, że nie zapobiedz im stanowczo dziwnem byłoby nad wszelki wyraz...

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

---

* **Kościół przy szpitalu Św. Jana Bożego**, niegdyś oo. bonifratrów, ma być odrestaurowany i rozszerzony kosztem 30,000 rs. Wiadomość to pożądana dla pobożnych, którym, przy rozroście Warszawy, brak domów Bożych dotkliwie czuć się daje.

* **Pomnik dla Moniuszki.** Komitet budowy pomnika dla ś. p. Moniuszki, mającego stanąć w foyer teatralnem, ogłosił konkurs na tenże pomnik, na mocy otrzymanego od władzy pozwolenia. Warunki konkursu ograniczają się na tem, że posąg przeznaczony dla pomieszczenia w niszy ściennej, ma przedstawiać twórcę „Halki" i „Strasznego dworu" w postawie siedzącej i wielkości naturalnej. Model gipsowy lub gliniany ma być wykonany w rozmiarach równających się najmniej $\frac{1}{4}$ wielkości naturalnej.

Projekta mają być nadsyłane do redakcyi „Kuryera warszawskiego," po dzień 1 Października roku bieżącego. Nie wiadomo jak dalece skład sądu konkursowego zachęci artystów do wzięcia udziału w konkursie...

* **Na statkach** należących do naszej parowej floty wiślanej mają być, z mocy rozporzadzenia ministeryalnego, zaprowadzone „księgi zażaleń," które inspekcya spławu rzecznego ma przeglądać po każdej statku podróży.

Oddanie to poniekąd żeglugi pod kontrolę publiczności mogłoby mieć skutki nader pożądane, gdyby publiczność chciała i umiała wykonywać tą kontrolę. U nas bywa tak, że ci, co mają słuszne powody niezadowolenia, przez tak zwaną „dobroć," a właściwie przez „miękkość" serca, uzasadnionych skarg swoich nie zapisują do „ksiąg zażaleń," ale rozpisują się zato w nich ci, których pretensye nie mają żadnej podstawy. Wprawdzie pomienione rozporządzenie zaleca, aby każdy skarżący się podawał w księdze dokładnie swoje imię, nazwisko i adres, ale któż zmusi pasażera do wypełnienia tego przepisu i kto go w tem skontroluje? Od zrozumienia własnego interesu przez ogół wodnych podróżników zależeć będzie, czy popis ten wyda rezultaty, jakieby wydać powinien.

* **Poczciwi Warszawiacy!...** Żadna ryba na najsmaczniejszą przynętę nie idzie tak łatwo, jako oni na resztki wyranżerowanych wielkości. Niedawno temu lgnęli, niby muchy na lep, na strzępki głosu pani Lucca, która, wyrzucona za nawias przez europejskich melomanów, raczyła nas nareszcie uraczyć spóźnionemi swemi odwiedzinami. No, ale to była przynajmniej niegdyś śpiewaczka całą gębą, a powiadają, że okruchy zrujnowanej wielkopańskiej fortuny stanowią jeszcze majątek dla biedaków... Teraz atoli przybyła do Warszawy nie sławna śpiewaczka, ale osławiona szansonistka paryzka, pani Judic, która, tracąc grunt pod nogami, w Paryżu, zdecydowała się nareszcie urok pięćdziesięciu swoich wiosen nam zaprezentować. No, i zabijamy się znowu o bilety na jej występy, mimo że cena ich została podwojona! Czyżby Warszawiacy, mający zawsze pretensye do szyku i pokaźnej prezencyi, mieli się trzymać przysłowia, które mówi, że „kto zjada ostatki, bywa piękny i gładki," chociażby to miały być ostatki pani Judic?...

* **Papier bananowy.** Sposób wyrabiania papieru z łodyg bananu wynaleziono świeżo w Stanach Zjednoczonych. Papier to ma być wyborny, a przytem tani zpowodu taniości i obfitości materyału.

* **O prawa kobiece.** W Wiedniu odbyło się w tych dniach zgromadzenie niewiast, na którem zapadła uchwała wystąpienia do Rady państwa zpetycyą o przyznanie prawa do wyborów municypalnych i politycznych. Uchwała ta zapadła jednomyślnością, którą poczęści wypada przypisać temu, że policya, w ostatniej chwili, nieproszona i niedziękowana, zabroniła wstępu na zgromadzenie mężczyznom...

G. Cz.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Мая 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.

Opis do N-ru 21.

(Dokończenie.)

N. 23—24. Suknia z krótkim stanikiem i kapelusz, Patrz ryc. 35 w N. 20.

Takie odrobienie sukni nadaje się do każdego miękiego wełnianego materyału, model odznaczał się nowym gustem w zestawieniu kolorów: przy cienkim niebieskawo-popielatym kaszmirze pasek i żabot był z bladożółtej crêpe de Chine. Na pasek potrzeba skośnego 15 c. szerokiego kawałka zfałdowanego i zapiętego z tyłu kokardą (patrz r. 35 w N. 20). Spódnica ścięta skośnie środkiem przodu i pleców, składa się z dwóch brytów po 150 c. szerokich u dołu, po 102 w górze. Przy szwie przednim dane są małe zaszewki zastosowane do figury; tylna połowa przymarszczona kilkakrotnie do 10 c. szerokości, z boków podpięte są trzy małe fałdki poprzeczne. U dołu sukni dany wolant 22 c. szeroki, 405 c. długi, przemarszczony w nagłówek 2 c. szeroki; brzegi wycięte maszynowo w ząbki. Stanik z podłużnym wykrojem z przodu, ma podszewkę gładką a wierzch lekko przymarszczony. Na żabot potrzeba skośnego kawałka krepy 10 c. szerokiego, 300 c. długiego, obrąbionego krytym szwem. Kapelusz z cienkiej żółtej słomki ma główkę pokrytą czarnym tiulem marszczonym, naszytym perełkami; bukiet mimozy z róż ponsowych dopełnia przybrania.

N. 26 — 28. Parasolik koronkowy i suknia z gorsecikowem przybraniem. Krój N. VI.

Duży parasolik pokryty białą jedwabną materyą ozdobiony wszywkami koronkowemi 10 c. szerokiemi i falbankami jedwabnemi wyciętemi w ząbki, pokrytemi koronką. Na przybranie gorsecikowe, kołnierz i mankiety a raczej sztylpy 28 c. wysokie, użyć można haftu, pasmanteryi, wstążki układanej nakształt plis i t. p. Na gładkiej podszewce stanika materyał zwierzchni podług *a* i *b* na fig. 27a przymarszcza się pod szyją i fałduje bluzkowo; zapięcie z przodu na haftki przykrywa fałda środkowa. Fig. 27 daje formę gorsecika, widocznego na r. 28. Suknia zupełnie gładko leżąca z przodu i z boków, z tyłu przymarszczona zachodzi na stanik, brzeg przykryty jest wstązką zapiętą kokardą z rozetą, podług r. 27, przedstawiającej suknię z jasnego wełnianego muślinu w kolorowy rzucik.

N. 29. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 4 — 6. Krój N. V.

Fig. 24 daje wymiar kroju, fig. 26a przedstawia płaszczyk bez pelerynki, mający formę wolnego paletocika z odciętemi plecami, dopełnionemi fałdowanym brytem krajanym w jednym ciągu z przodami (patrz fig. 24). Fałdy układają się płasko, zwrócone do środka. Przody mają podszyte kieszenie; wykrój szyi ujęty w pasek 1 c. szeroki, rękawy zwykłe paletotowe. Fig. 25 daje w naturalnej wielkości połowę peleryny krajanej skośnie z jednego bryta, która od y do z wszywa się w kołnierz wykładany i przyczepia do płaszczyka. Model z szewjotu piaskowego w kratkę niebieską i ponsową, zakończony wokoło brzegów rzędami stębnówki, podszyty od spodu listewkami z ponsowej materyi, miał przy kołnierzu ponsową kokardę z wstążki repsowej.

N. 30. Bluzka z puszczanemi przodami. Krój N. I.

Odpowiednia do ubrania podróżnego lub do kostiumu letniego do gier ogrodowych szyje się z materyału wełnianego lub letniego do prania. Przody krajane podług fig. 1 przedłużone są do 60 c., plecy skrócone do 40; zbywająca długość przodów założona przy szwie bocznym w głęboką fałdę. Obrąbek dolny 2 c. szeroki nawleczony szeroką elastyką; prawa połowa przodów zakończona 4 c. szeroką skośną listewką, od góry na 6 c. wzdłuż naszytą guziczkami z konchy perłowej.

N. 31. Kaftanik puszczany dla panienki lat 11—13. Krój N. IV.

Składa się tylko z szerokich pleców i przodów i może być uszyty z odmiennego lub tego co suknia materyału. Szerokość wystająca u dołu pleców zebrana jest w fałdy zwrócone do środka; brzegi przodów nadpuszczone w kształcie klapki zachodzą na plecy od l do m i przyszyte są guzikami. Kieszonki boczne przykryte klapkami podług fig. 23 od w do x. Na kołnierzu dana 6 c. szeroka repsowa wstążka; ułożona z tyłu na środku w potrójną kontrafałdę, z przodu związana w długą kokardę. Guziczki z konchy perłowej.



N. 1. Suknia z podpiętą baskiną.

N. 2. Suknia z fałdowaną baskiną. Patrz ryc. 5, 17 i 18.

Opis do N

N. 1. Suknia z po

Podług wymagań najświeżs

ożywiają nietylko metalowemi

także kolorowemi oszyciami; przyczem kokardy w stylu rococo pierwsze zajmują miejsce; modne są także odmienne staniki, jak to r. 1 przedstawia. Czarna grenadynowa spódnica z jasno-niebieskiem przybraniem ma stanik z czarnego fularu w niebieskie bukiety. Marszczona wokoło baskina podpięta na biodrach rozetami z atłasowej wstążki, odpowiednia tylko dla osób szczupłych i wysokich. Plecy i boczki tylne z materyału zwierzchniego krają się w jednym ciągu i przymarszczają wązko w pasie. Lewa połowa przodów zfałdowana w górze przechodzi skośnie i zapina się niewidocznie z prawego boku. Pasek, kołnierz, rozety z atłasowej czarnej wstążki.

N. 2, 5, 17 i 18. Suknia z fałdowaną baskiną.

Nowość formy przedstawia baskina krajana skośnie, kolisto podług wymiaru r. 18, której obwód dolny układa się w fałdy, wymagające u dołu podszycia wstążki aby się nie rozsuwały. Baskina pleców kraje się z niemi w jednym ciągu i wymaga naddania na fałdy złożone do spodu, z boków na 11 c. w środku na 23 c. szeroko. Przody stanika zebrane u dołu w parę fałd odsłaniają kamizelkę z odmiennego materyału, w górze 14 c. szeroką, wszytą w kołnierz stojący $5^1/_2$ c. wysoki; wykrój przodów ujęty w kołnierz szalowy, zaokrąglony u dołu; mankiety 10 c. szerokie. Spódnica zakończona odmiennem obłożeniem 11 c. szerokiem, składa się z lekko podpiętego prostego przedniego i tylnego bryta, po 125 c. szerokości, połączonych klinami bocznemi ściętemi skośnie od 40 c. szerokości dolnej, do 22 w górze. Model sukni przedstawiony z przodu na r. 2, z tyłu na r. 17 był ze srebrno popielatego materyału *cotelé*, przybrany turkusowo-niebieskiem suknem i 2 c. szeroką pletnią stalową, naszytą szkiełkami szafirowemi podług ryc. 5.

N. 3—7. Oszycia do sukien i ozdoby ze szkła lub konchy perłowej.

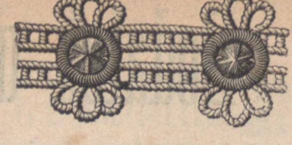
Wszystko co się błyszczy i świeci: pletnie metalowe, perły, ozdoby z konchy perłowej, szczególniej zaś naśladowanie kolorowych drogich kamieni, modne jest do przybrania sukien wizytowych i spacerowych. Kolorowe szkiełka zastosowywane są w najrozmaitszy sposób; szlifowane szmaragdy, rubiny, granaty, szafiry, topazy i turkusy, niezmiernie efektownie odbijają naszyte na pletni metalowej (jak to ryc. 5 przedstawia w połowie naturalnych rozmiarów) lub na paskach sukiennych zakończonych z brzegów wąziutką aksamitką (patrz ryc. 6 także w połowie naturalnej wielkości) lub na torsadce ażurowej z haftu maszynowego (wielkość naturalna r. 4). Ślicznie wygląda torsadka z perełek i podłużnych szkiełek np. ze stalowych rzniętych perełek i szlifowanych turkusów jak to ryc. 7 przedstawia w naturalnej wielkości. Na ryc. 3 daliśmy wzory szkiełek i ozdób z konchy przeznaczonych do naszywania.

N. 8—10. Firanka z wyszyciem i kratką ażurową.

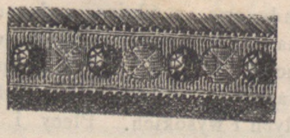
Rycina 10 przedstawia model z pytlowego płótna 94 c. szerokości, 265 c. długości, ozdobiony był naprzemian szerokiemi kolorowemi pasami y Aïda wyszywanemi w deseń; e kratka ażurowa. Można kuerabiany w pasy i dodać tylko cina 8 daje desenik do szlaku 9 w naturalnej wielkości; katerem nitkom kanwy w kwadrat ych każdy zajmuje jedną nitkę, . w niektórych miejscach stoso-



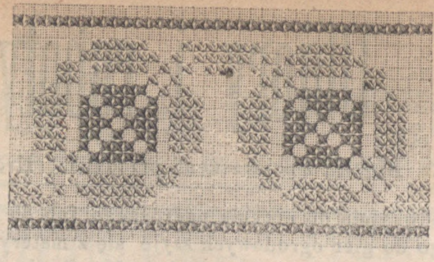
N. 3. Ozdoby ze szkła szlifowanego i konchy perłowej, do naszywania na sukniach.



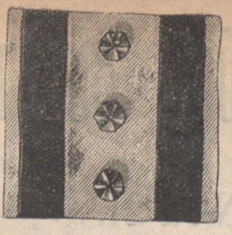
N. 4. Hafcik naszyty szkiełkami.



N. 5. Pletnia wyszywana do sukni, ryc. 2.



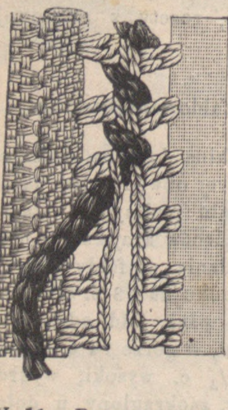
N. 8. Desenik do ryc. 9.



N. 6. Szlak z aksamitek i szkiełek, do sukien i okryć.



N. 7. Torsadka ze stalowych perełek i szkiełek podłużnych.

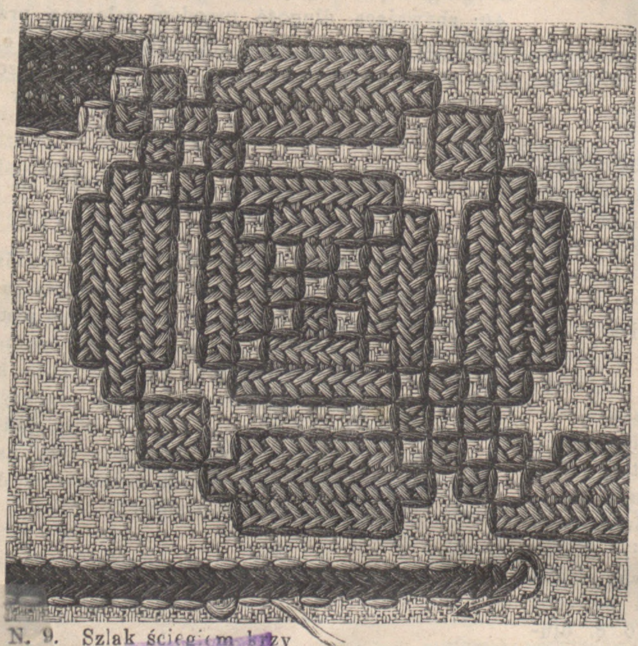


N. 11. Przysznurowanie szlaku do serwety ryc. 12.

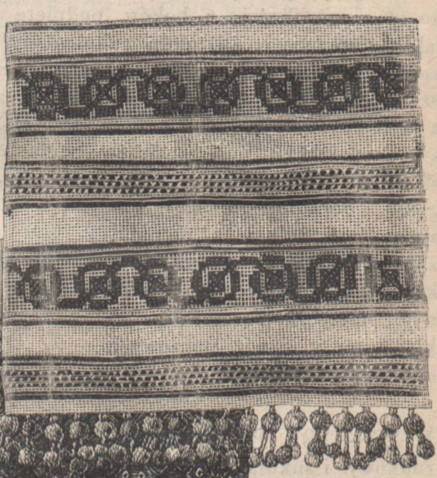
wnie do deseniu wypadają ściegi krótkie tylko przez jedną nitkę. Zamiast ściegu krzyżowanego skośnie, jaki widzimy na ryc. 9, można dać inny rodzaj wyszycia — wzory różne znajdują się w Tygodniku. Brzegi wyszycia obwodzone ściegiem prostym, kolorem ciemniejszym lub odmiennym. Zakończenie dolne firanki stanowi frendzla z kulek, lub z grelotek szydełkowych, opisana w N. 20 na ryc. 10.

N. 11—12 i 16. Serweta do stołowego pokoju.

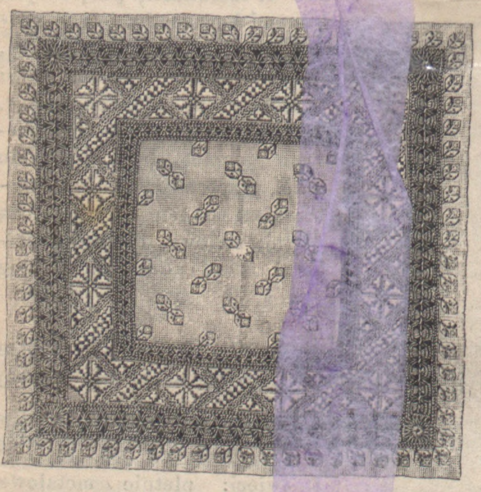
Ażeby hafty kolorową bawełną nie blakły od częstego prania, wykończają je jako szlaki oddzielne i przyszywają lub sznurują do gładkiego tła serwety, jak to ma miejsce i z szerokim szlakiem zdobiącym serwetę ryc. 12. Tło środkowe z grubego płótna kanwowego liczy 40 c. szerokości a 80 c. długości i zakończone jest obrębem 1 c. szerokim, ozdobionym wyszyciem z zielonej i granatowej bawełny. Dolny brzeg obrębu obrobiony szydełowym brzeżkiem z 2 sł. i 3 o. pow. naprzemian; takież obrobienie powtarza się wokoło haftowanego szlaku i służy następnie do połączenia go z serwetą, przez sznurowanie szydełkowym sznureczkiem z bawełny zielonej i ponsowej przewlekanym podług r. 11. Szlak 26 c. szeroki, u góry zakończony obrąbkiem 1 c. szerokim, odznaczonym kratką ażurową, u dołu odziergany i ozdobiony 13 c. szeroką frendzlą, wiązaną z nitek wysiepanych. Haft naśladowany ze starożytnego wzoru, wykonany bawełną zieloną (mchową), drzewną granatową i ponsową; dla ułatwienia wykonania potrzeba najpierw odznaczyć kontury kwadratów, idących skośnie, zapełnianych ściegiem gobelinowym, zajmowanym poprzecznie. Kontury są drzewnego i ciemnozielonego koloru; pręciki między kwadratami są zielone, obwiedzione niebieskiemi ściegami; małe kwadraciki ponsowe, duże są jasno-zielone i przy zapełnianiu mają odznaczony rzucik. Szeroki szlak z obu brzegów oddzielony wązką prostą prążką ciemno-zieloną, od wązkiego szlaczku z trójkącików zielonych przegrodzonych krzyżykami ponsowemi i niebieskiemi w obwódce jasno-drzewnej. Do wiązania frendzli dodana bawełna w tych samych kolorach co haft.



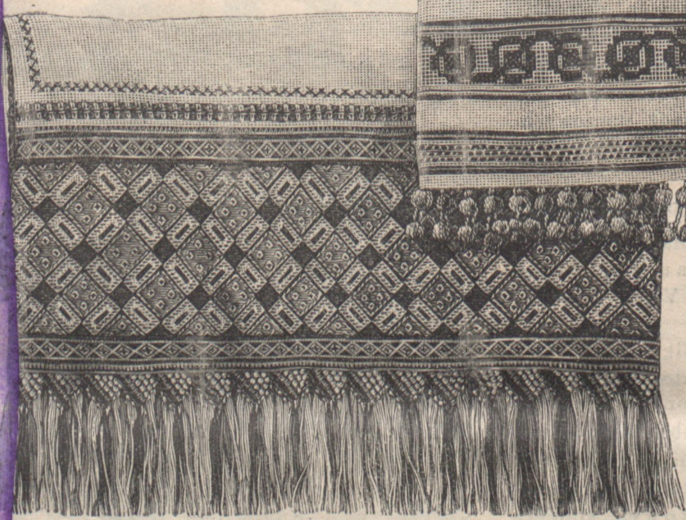
N. 9. Szlak ściegiem krzyżowanym. Patrz ryc. 8 i 10.



N. 10. Firanka w pasy wyszywane.



N. 13. Serwetka z haftem i kratką ażurową. Patrz ryc. 14—15.



N. 12. Serweta do stołowego pokoju. Patrz ryc. 11 i 16.

N. 13—15. Serwetka z haftem i kratką ażurową.

Model z białej kanwy kongresowej liczył 48 cent. w kwadrat i był wyszywany grubą, kręta żółtawą bawełną. Tło środkowe miało 21 c. w kwadrat i ozdobione łączonym ze szlaczku brzeżnego rzucikiem. Haft wykonany jest ściegiem płaskim, obliczanym podług nitek. Na pas kratki wiązanej trzeba wyciągnąć 35 nitek poprzecznych, poczem brzegi zamocować rzadkiem odzierganiem, zajmując każdym ściegiem po cztery nitki. Łączenie grup czteronitkowych po sześć w jedną wiązkę dopełnia ścieg łańcuszkowy zajmowany przez środek pasa. Dalsze wiązanie zależy na ujęciu jednym ściegiem łańcuszkowym każdych czterech nitek, po ostatnich nitkę roboczą przeprowadza się do nitki środkowej, jak to widzimy dokładnie na ryc. 14, przedstawiającej szlak w naturalnej wielkości. Wykonanie gwiazdy zapełniającej narożnik jest dla ułatwienia przedstawione w powiększeniu na ryc. 15.



...nik, patrz ryc. 15.

...awa, 14 Maa 1891 r.
Druk Emila Skiwskiego, War...